

TOOTSIE ZOMBIE I DAHLIA



S. C. ALEKTO



TOOTSIE ZOMBIE I DAHLIA

S. C. ALEKTO



Copyright © by S. C. ALEKTO
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Anna Łakuta
Korekta: Wioleta Turgut
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Projekt graficzny książki: K&K Designer
Fotografia na okładce: freepik.com
Pomysł na okładkę: Moje wydawnictwo

ISBN Papier: 978-83-68147-98-8

ISBN Ebook: 978-83-68147-99-5



Moje Wydawnictwo

-  www.mojewydawnictwo.pl
-  wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
-  [mojewydawnictwo](https://www.instagram.com/mojewydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://twitter.com/mojewydawnictwo)
-  [moje.wydawnictwo](https://www.soundcloud.com/moje.wydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://www.facebook.com/mojewydawnictwo)

*Miłość w swej prostej i nieśmiałej mowie powie najwięcej, kiedy
najmniej powie.*

– William Shakespeare *Sen nocy letniej*.

*Mamie, która uwielbia szczęśliwe zakończenia,
nawet te najmniej prawdopodobne...*

PROLOG

W siódmym rzędzie ładna dziewczyna w bluzce w kolorze amaranthu pisała i odwróciła głowę, przytulając się do ramienia towarzyszącego jej mężczyzny. Trzy miejsca dalej starszy pan o mało nie podskoczył na krześle. Komuś siedzącemu na końcu sali, mniej zainteresowanemu wyświetlanym filmem, upadł telefon akurat w momencie, gdy postać grana przez przystojnego aktora podobnego do Roberta Redforda ze łzami w oczach odcina głowę zombie, w które kilka scen wcześniej przemieniła się jego ukochana. Krew tryskała niczym z fontanny. Główny bohater filmu, mimo złamanego serca, nie ustawał jednak w swoich wysiłkach.

Budząca grozę muzyka nagle się zmieniła. Zastąpiła ją rzewna melodia, która sprawiła, że co wrażliwsi otarli z kącików oczu zabłąkaną łzę. Sobowtór Redforda w końcu podniósł głowę ukochanej niczym najdroższy skarb i po bardzo długiej minucie najazdu kamery – to na jego twarz, to na głowę nieumarłej – pocałował ją. Muzyka znów zagrała na emocjach wszystkich oglądających.

Gdzieś na środku sali siedziały dwie nastolatki, które przyszły dziś do kina na wieczorny seans. W momencie, gdy scenę ucięto, a ekran lekko przygasł, by przenieść widzów nieco w przyszłość, żadna z nich nie wydawała się zainteresowana filmem.

Ładna dziewczyna o dość pucołowatej twarzy oraz związanych w koczek brązowo-miedzianych włosach zwrócona była w stronę koleżanki i ledwo powstrzymywała się przed wybuchem śmiechu. Jej towarzyszka, z opartą o fotel i lekko przekrzywioną głową, spała w najlepsze z szeroko otwartymi ustami. W stanie głębokiej nieświadomości znajdowała się już w zasadzie od połowy filmu – od chwili, gdy główny bohater musiał uciekać ze szpi-

tala przed zgrają zakażonych, by wyruszyć na poszukiwanie zainfekowanej ukochanej.

Nastolatka na moment oderwała wzrok od śpiącej przyjaciółki i zerknęła na ekran. Sięgnęła szybko do znajdującego się między nimi kartonowego pudełka wypełnionego popcornem, a potem wepchnęła sobie do ust prawie całą garść. Zbliżała się właśnie ostatnia scena, w której protagonista sam zamienia się w zombie po tym, jak całując martwą ukochaną, nie zauważa drobnej rany na swoich wargach. Przemiana się zaczęła, a on, znajdując się na ulicy opuszczonego miasta, ruszył w kierunku wschodzącego słońca, którego promienie prześwitywały między wieżowcami.

Dziewczyna spojrzała po raz kolejny na śpiącą koleżankę i o mało nie udławiła się resztką popcornu, który wciąż żuła. Szybko sięgnęła po swoją colę i upiła spory łyk przez słomkę. Uderzyła się kilka razy w pierś, a gdy odzyskała oddech, czekoladowe spojrzenie ponownie utkwiała w szczupłej twarzy.

Różowe, pełne wargi wciąż były rozchylone, a długie, podkreślone tuszem rzęsy rzucały cień na blade policzki. Jasnobrązowe włosy opadające na lewe ramię wydawały się dużo ciemniejsze w sali kinowej, gdzie jedynym źródłem światła był tylko ekran. Na końcu dziewczyna skupiła bystry wzrok na nosie przyjaciółki, a raczej na popcornie, który tkwił w obydwu dziurkach niczego nieświadomej, śpiącej nastolatki.

Muzyka zaczęła zyskiwać na intensywności aż do momentu, gdy główny bohater – przypominający z oddali zaledwie niewielki punkcik – zatrzymał się, a horda wygłodniałych zombie rzuciła się na niego. Kamera powoli się wznosiła, pokazując zniszczone bądź uszkodzone wieżowce, by wreszcie skupić się na słońcu. Ekran przygasł i pojawił się napis: „Koniec”.

Światła w sali na powrót się zapaliły, oświetlając całe pomieszczenie. Ludzie wstawali z miejsc i mniej lub bardziej podekscytowani wymieniali się uwagami na temat seansu.

– Dahlia, wstawaj. – Nastolatka szturchnęła śpiącą koleżankę, ale ta tylko się poruszyła, odsuwając się od jej dłoni, zupełnie jakby uznała ją za natrętą muchę. – No obudź się!

Tym razem otworzyła szare, zaspane oczy i zamrugła kilkakrotnie, nie do końca wiedząc, gdzie jest. Utkwiła wzrok w nachylającej się nad nią przyjaciółce.

– Gina? – wydusiła, przeciągając się. – Co? Już się skończyło?

Rozejrzała się po prawie pustej sali, aż w końcu jej wzrok spoczął na ogromnym ekranie, po którym właśnie płynęły napisy końcowe. Ziewnęła, a później wstała.

– Przespałaś prawie cały film – odezwała się Gina, zabierając popcorn i colę, które zaraz potem wyrzuciła do kosza stojącego przy wyjściu.

– Yhm...

Dahlia, wciąż zaspana, ziewnęła, podążając za koleżanką. Niespodziewanie jednak przystanęła i zmarszczyła brwi. Wyjęła z nosa popcorn. Posłała Ginie jedno groźne spojrzenie, na co dziewczyna szybko zaczęła trąkotać:

– Główny aktor był naprawdę przystojny. Jak on się nazywa? Zack... Albo Terennce. Tak. Terennce Bishop!

– Gina – mruknięła Dahlia i miała zamiar pochwycić koleżankę za ramię, ale ta sprawnie uniknęła ataku.

– No wiesz, nie mogłam się powstrzymać. Spałaś tak słodko.

– Gina!

Gina się roześmiała i zaczęła uciekać.

– To był horror! – krzyknęła, odwracając się przez ramię i lawirując właśnie wśród ludzi, którzy zbierali się na kolejny seans. – Naprawdę! Nie kłamie, tak napisali na ulotce!

– Horror? – Dahlia przestała ją ścigać. – Raczej opera mydlana i w dodatku nudna.

Nastolatka, nie mogąc powstrzymać już któregoś z kolei ziewnięcia, spojrzała na swoje tenisówki. Jedna ze sznurówek była rozwiązana. Pochyliła się więc, mruczając pod nosem:

– Zakochany w zombie, taaa... Głupszego wątku nie mogli wymyślić? – prychnęła pod nosem. – I jeszcze nazwali to horrorem. – Pokręciła głową.

Dahlia się wyprostowała, akurat, gdy tuż obok niej przemknęła kobieta w amarantowej bluzce.

– Przeklęty zombie – wyrwało się z ust nieznajomej, gdy mijała dziewczynę.

Nastolatka uniosła lekko brew. Wyglądało na to, że nie tylko ona nie była zadowolona z tej produkcji. Wkrótce wyszła na zewnątrz, gdzie czekała Gina, wciąż pozostająca w świetnym humorze. Koleżanka podbiegła do niej i wzięła ją pod rękę.

– Następnym razem idziemy na komedię romantyczną! Zgodnie z umową!

– Nazywasz to coś horrorem? – zachnęła się Dahlia, a wtedy jej towarzyszka szybko sięgnęła do kieszeni i wyjęła telefon. Po krótkiej chwili pomachała nim przed twarzą przyjaciółki.

– O tu! Czytaj! – Wskazała palcem konkretne zdanie.

– „*Serce Zombie* to horror, który zmrozi krew w żyłach niejednemu, ale również poruszy dogłębnie, skłaniając do refleksji nad życiem i śmiercią...” – przeczytała. – Ale... – Już chciała zaoponować, wysuwając listę argumentów, które świadczyły o tym, że nie był to horror, lecz widząc twarde spojrzenie koleżanki, skapitulowała. – Więc? Na co chcesz pójść następnym razem?

Gina uśmiechnęła się podekscytowana, zupełnie jakby tylko czekała na to pytanie.

– Za dwa tygodnie jest premiera *Miłości na pustyni* 2! – odpowiedziała szybko. – Po prostu muszę to obejrzeć! Widziałam już zwiastun i...

Dahlia nie rejestrowała już do głowy informacji na temat produkcji, którymi wciąż zasypywała ją koleżanka. Po prostu potakiwała co jakiś czas, idąc przed siebie. Zastanawiała się właśnie, co by było, gdyby faktycznie zombie istnieli.

CZĘŚĆ I PRZED APOKALIPSA

ROZDZIAŁ 1

Leżąc na łóżku w sypialni kobieta sięgnęła do paczki z żelkami i wyjęła czerwonego misia. Ścisnęła go w palcach, a gdy trochę się już nad nim poznęcała, odgryzła mu głowę. Tułów wrzuciła sobie do ust sekundę później. Potem znów zanurzyła dłoń w opakowaniu, szukając nowej ofiary.

– Dahlia? Żyjesz tam?! – zawołała, spoglądając w stronę drzwi prowadzących do niewielkiej łazienki.

– Jeszcze chwila! – Usłyszała zduszony głos przyjaciółki.

Gina Murray podparła dłonią głowę i zerknęła na zegarek.

– Dochodzi siódma! Spóznisz się!

Nagle drzwi do łazienki się otworzyły i wyszła z nich wysoka, szczupła kobieta w czerwonej, ołówkowej sukience z dekoltem w kształcie litery „V”.

– Cholera, nie mogę jej zapiąć, pomożesz mi? – Popatrzyła na przyjaciółkę, która wytarła dłonie w dżinsy, a później wstała z łóżka.

– Odwróć się. – Zakreśliła palcem w powietrzu, a po chwili sprawnie sięgnęła do zamka i pociągnęła go w górę. – No i po sprawie.

Dahlia wykonała obrót i zapytała:

– No i? Jak wyglądam?

Gina zmierzyła ją wzrokiem, a potem pokiwała głową z aprobatą.

– Jeśli na ciebie nie polecą, to albo jest ślepy, albo to gej. – Mruknęła do niej. Podeszła i poprawiła jedno lekko falowane pasmo, które opadało wzdłuż twarzy, podczas gdy reszta jasnobrązowych włosów upięta była w wymyślny kok. – Wyglądasz ślicznie.

W odpowiedzi Dahlia odetchnęła z ulgą, a wkrótce zaczęła się rozglądać po pokoju. Torebka wisiała przewieszona przez otwarte drzwi szafy. Szybko ją zabrała i rzuciła w stronę koleżanki, która bez problemu ją złapała. Następnie zdjęła z wieszaka modny prochowiec i sprawnie go włożyła. Przypominając sobie o czymś, pobiegła do łazienki. Kilka sekund później stała już obok przyjaciółki i przeglądała się w małym, podręcznym lusterku, nakładając krwistoczerwoną szminkę na usta. Otarła jeden z kącików ust i sięgnęła po torebkę. Na moment przystanęła, biorąc głęboki oddech.

– Wiesz, denerwuję się. Ostatni raz na randce byłam pół roku temu. A co, jeśli...

– Za bardzo wszystko przeżywasz. Po prostu postaraj się dobrze bawić i potraktuj tę randkę jak... Jak niezobowiązujące spotkanie.

– Łatwo ci mówić, ale to przecież kuzyn Oscara. Nie chcę, gdyby coś poszło nie tak, wyrzucał sobie później, że niepotrzebnie nas ze sobą poznał.

– O to się nie martw. – Gina położyła dłonie na obfitych biodrach. – W razie czego biorę go na siebie. W końcu to ja go poprosiłam, by przedstawił mi listę niezamężnych, dobrze usytuowanych mężczyzn, których zna. Poza tym... – Zrobiła dłuższą przerwę, patrząc na Dahlię wymownie. – Uwierz mi, sowicie go w nocy wynagrodziłam. – Przygryzła dolną wargę, a w jej ciemnych oczach pojawiły się iskierki.

– Tak? – Jones podniosła brew, a Murray niczym mała dziewczynka splotła za sobą dłonie i zaczęła się kołysać, wlepiwszy w podłogę wzrok. – Jakies szczegóły?

– Szczegóły... – zachichotała, ale urwała nagle, bo jej dwudziestopięcioletnie ja właśnie wróciło. – O tym porozmawiamy później. A teraz naprawdę się zbieraj, bo będziesz spóźniona.

Dahlia nie protestowała. Jeszcze raz zerknęła na zegarek, a potem poganiana przez przyjaciółkę wyszła z sypialni. Przeszła przez niewielki przedpokój połączony z kuchnią i znalazła się przy drzwiach. Nagle się zatrzymała.

- Co? O czym zapomniałaś? – spytała Gina.
- Pager.
- O nie. Nie tym razem.
- Gina – zaczęła, patrząc na nią nieco błagalnie. – Znów chcesz się o to kłócić? Przecież wiesz, jaką mam pracę.
- Wiem – powiedziała twardo. – Ale to nie znaczy, że musisz być na każde skinienie... – Przerwała, gdy Dahlia złożyła dłonie, przytknęła je sobie do ust i posłała jej rozczulające spojrzenie wielkich, szarych oczu.
- Murray westchnęła.
- To gdzie jest?
- W sypialni, na etażerze, obok łóżka.
- Gina wróciła po minucie i wręczyła urządzenie przyjaciółce, która szybko schowała je do torebki.
- No to życz mi szczęścia.
- Jasne, tylko pamiętaj: ani słowa na ten temat.
- Hm?
- Wiesz, o czym mówię.
- Ale...
- Ani słowa. To pierwsza randka. Mam ci przypomnieć, jak było ostatnio? –
- Dahlia milczała, wpatrując się w przyjaciółkę i udając, że nie wie, o czym mowa.
- Nie pamiętasz, jak powiedziałas temu blondasowi, czym się zajmujesz, a potem wyszłaś na moment do łazienki? Gdy wróciłaś, faceta już nie było. Zwiął i nawet nie zapłacił za kolację.
- Może po prostu źle się poczuł i musiał wyjść.
- Gina zmrużyła oczy.
- Tak i przy okazji tej jednej nocy stwierdził, że jest technofobem i wyrzucił telefon.
- Dahlia skapitulowała.
- No dobrze, jeśli nie zapyta...
- Zapyta, i to na pewno. W końcu to wasze pierwsze spotkanie, ale ty, kochana, nie piśniesz mu ani słówka.

– Więc co, mam kłamać? – zapytała niezadowolona. – Wiesz, że tego nie lubię. Skoro...

– Po prostu daj mu... wam nieco więcej czasu na rozwinięcie relacji. Gdy się w tobie zakocha, jest nikła szansa, że ucieknie z krzykiem, kiedy pozna twój zawód.

Jones patrzyła, jak przyjaciółka dotyka swoich ust. Z trudem panowała nad sobą. Jeszcze chwila, a na pewno wybuchnęłyby śmiechem.

– No wiesz, dziękuję ci bardzo. Pocieszyłaś mnie.

– Rzuć wreszcie tę robotę, a będzie po problemie.

Dahlia założyła dłonie na piersi. Gina z całą pewnością uznała, że ta ostatnia uwaga nie bardzo się jej spodobała.

– Definitywne „nie”? – drażyła.

– Nie.

– No dobrze, nie mówmy już o tym, ale posłuchaj mojej rady. Nie wspominaj o swoim prawdziwym zawodzie, a gdy zapyta, po prostu powiedz, że pracujesz w rodzinnej firmie – zaproponowała. Dahlia popatrzyła na nią nieco sceptycznie. – No co? Przecież to prawda.

– Nieważne – odezwała się w końcu i zamknęła mieszkanie. – Taksówka czeka na dole. Jeśli chcesz, to...

– Oscar zaraz po mnie przyjedzie – wtrąciła Gina. – No, zmykaj. Tylko nie zapomnij jutro zadzwonić. Koniecznie chcę wiedzieć, jak było.

Jones posłała jej uśmiech, pożegnała się, a potem zbiegła ostrożnie po schodach, stukając szpilekami.

Pięć minut później taksówka zatrzymała się przed niewielką włoską restauracją *Casa Nostra*. Nie leżała ona daleko od Eaton Road, gdzie Dahlia wynajmowała mieszkanie.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech, zanim przekroczyła próg. Gdy znalazła się w środku, rozejrzała się po przytulnym, klimatycznym wnętrzu i dostrzegła po lewej stronie stolik, przy którym

siedział elegancko ubrany mężczyzna, z którym była dziś umówiona. Spojrzał w jej kierunku, wstał i zaczął czekać, aż podejdzie bliżej.

– Dahlia Jones? – Gdy skinęła głową, przedstawił się: – Patrick Thompson.

Uścisnęli sobie dłonie, a później dziewczyna przewiesiła prochowiec przez oparcie krzesła i zajęła miejsce przy stoliku. Na moment zapadła niezręczna cisza.

– Więc – zaczęła szybko. – Jesteś kuzynem Oscara?

– Tak. – Uśmiechnął się, ukazując rząd idealnie prostych, białych zębów, a w jego policzkach pojawiły się rozkoszne dołeczki, które tylko dodawały mu uroku. – Mam nadzieję, że mój kuzyn nie przedstawił mnie w złym świetle?

Podobał się jej. Był przystojny i proporcjonalnie zbudowany. Jasne włosy zaczesywał na lewą stronę, a ciemne oczy patrzyły w przyjazny sposób. Początkowo sprzeciwiała się zabawie Giny w swatkę i chciała odmówić, ale kiedy zobaczyła jego zdjęcie, postanowiła, że w sumie to warto spróbować. Sama także musiała być w jego typie, skoro zgodził się na tę randkę w ciemno. Inaczej przecież by się nie pojawił.

– W żadnym wypadku, a wręcz przeciwnie – odpowiedziała akurat w momencie, gdy podszedł do nich kelner.

– W takim razie mogę odetchnąć z ulgą.

Uśmiechnęli się do siebie, a potem zaczęli studiować pozostawione im menu.

– Od dawna mieszkasz w Londynie? – Kiedy zdecydowała, co zamówi, zamknęła kartę i odłożyła ją na stół.

– Od pięciu lat. Przeprowadziłem się, gdy zacząłem studia.

– Co studiowałeś?

– Finanse. Mój ojciec prowadzi firmę transportową, więc od razu po studiach zacząłem pracę w biurze. – Patrick zamknął menu i spojrzał w kierunku kelnera, który czekając na wezwanie, ruszył w ich stronę. – A ty?

Dahlia poruszyła się niespokojnie.

– Ja też...

– Czy już się państwo zdecydowali? – przerwał jej kelner, wyciągając notes i długopis.

Patrick skupił całą uwagę na mężczyźnie.

– Tak. Poproszę lasagne al forno, a dla... – Przeniósł wyczekująco wzrok na dziewczynę.

– Risotto della nonna – odpowiedziała.

– Czy coś jeszcze?

– Butelkę najlepszego czerwonego wina, jakie państwo mają.

Kelner zanotował zamówienie i grzecznie się wycofał. Thompson znów skupił się na swojej towarzyszce.

– A więc, na czym to skończyliśmy? A tak, mówiliśmy o pracy. Skoro już zdradziłem sposób, w jaki zarabiam na życie, teraz pora na ciebie. Musimy przecież wiedzieć, czy będziemy w stanie się utrzymać, gdy już weźmiemy ślub – zażartował, a ona lekko się roześmiała.

– No tak. Na to z pewnością liczą nasze rodziny. W końcu jesteśmy już w „tym wieku”.

– Tak. „W tym”, świetnie to ujęłaś. No więc? Czym się zajmujesz?

– Jestem... – Urwała na moment, gdyż słowa Giny rozbrzmiały w głowie niczym zakłęcie. Zawahała się, przez co mężczyzna uniósł lekko brwi.

– Chyba nie jesteś płatnym zabójcą? – zapytał, widząc, że dziewczyna wciąż milczy. – Bo jeśli tak, to... – Nachylił się lekko nad stołem, zasłonił usta dłonią i szeptem dokończył: – Świetnie się składa. Miałbym dla ciebie zlecenie.

– Tak? – podchwyciła temat wyraźnie rozbawiona, czując się jednocześnie tak, jakby właśnie uciekła spod gilotyny. – Ktoś nadepnął ci na odcisk?

– Jeden ze współników ojca. Strasznie namolny facet, nie ma pojęcia, jak działa ten biznes. Jedyne, co robi, to narzeka na wydatki związane z inwestycjami. Nie rozumie, że jeśli chcemy się utrzymać na rynku i być konkurencyjni, musimy się zmodernizować.

– No cóż. Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Niestety w tej kwestii nie jestem w stanie ci pomóc. Nigdy nie trzymałam w ręku pistoletu i, szczerze mówiąc, z nożem kuchennym również nie idzie mi najlepiej.

W ciemnych oczach Patricka pojawiły się iskierki humoru.

– Czyli nie mam co liczyć na domowe obiady przygotowywane przez żonę?

– Jeśli tą żoną kiedyś zostanę, to niestety nie.

Wymienili przyjazne spojrzenia, a wkrótce potem podano zamówienie. W trakcie jedzenia Dahlia czuła na sobie wzrok Patricka, co sprawiało, że zalewały ją fale gorąca. Zarumieniła się, gdy skomplementował jej oczy. Rozmowa układała się świetnie, a dziewczyna stawiała się coraz bardziej rozluźniona i szczerze zadowolona z tej randki. Thompson przypadł jej do gustu. Do tego stopnia, że upijając łyk wina i przyglądając się temu, jak z nienagannymi manierami posługuje się nożem i widelcem, zaczęła się zastanawiać nad tym, jak wyglądałoby ich wspólne życie. Czy dzieci byłyby bardziej podobne do niej, czy do niego? Gdzie ewentualnie by zamieszkali i czy mieliby psa...

Mężczyzna otarł usta serwetką i wtedy zauważył, że jego towarzyszka się w niego wpatruje. Lekko uniośł kąciki ust. Pochlebiało mu to zainteresowanie, ale nie stanowiło zbyt dużego zaskoczenia. Patrick doskonale zdawał sobie sprawę, że podoba się kobietom.

– Więc? – zaczął, a wtedy się ocknęła. – Zdradzisz mi wreszcie, czym się zajmujesz?

Patrzył, jak szybko unosi kieliszek i upija kolejny, tym razem dość spory łyk wina, zupełnie jakby chciała zyskać na czasie. Coraz bardziej intrygowała go siedząca naprzeciwko dziewczyna.

– Też pracuję w rodzinnej firmie – odpowiedziała w końcu. – Od pięciu lat. Zaczęłam, gdy miałam dwadzieścia.

Patrick rozsiadł się wygodnie.

– No proszę, a więc to kolejna rzecz, która nas łączy. Pracujemy w przedsiębiorstwach rodzinnych.

Uśmiechnęła się do niego, ale tym razem zauważył, że była przy tym nieco spięta.

– Jaka branża?

Znów się zawahała, ale po krótkim namyśle wyprostowała się, zupełnie jakby w tym jednym momencie podjęła bardzo ważną decyzję. Obserwował, jak spleta przed sobą dłonie, patrzy na niego poważnie i otwiera pełne usta, w które chętnie by się teraz wpił.

– Jestem...

Wyszli z restauracji i zatrzymali się kilka kroków dalej. Dahlia patrzyła, jak Patrick próbuje złapać dla niej taksówkę. Kiedy w końcu mu się udało, odwrócił się w jej stronę.

– Dziękuję – odezwała się szybko. – Miło spędziłam ten wieczór.

– Tak, było miło – odparł, ale bez większego entuzjazmu.

– To może następnym razem... – Urwała, gdyż właśnie na poboczu zatrzymała się taksówka.

– Tak, tak, następnym razem – odparł szybko, a kobieta zaciśnęła nieco mocniej dłoni na torebce.

Sięgnęła do klamki, ale w tym samym momencie Patrick, chcąc zachować dobre maniery, spróbował otworzyć przed nią drzwi i ich dłonie się spotkały.

– O... – zaczęła Dahlia, ale umilkła, gdyż mężczyzna się wzdrygnął i szybko cofnął rękę. Zabolało ją to, ale nie chciała dać tego po sobie poznać. – Do zobaczenia – rzuciła i wsiadła do taksówki, na koniec nie spoglądając nawet w jego kierunku.

Nie musiała tego robić, by wiedzieć, że jedyne, co zobaczy, to wyraz obrzydzenia oraz zgrozy. Odjechali. Jones westchnęła i wyjrzała przez okno.

– Gina miała rację... – mruknęła cicho.

Wróciła do domu i powlekła się do sypialni. Szpilki wylądowały obok kanapy, a torebka razem z płaszczem na łóżku. Dahlia rozpuściła włosy, po czym opadła na pościel. Przez chwilę leżała z twarzą utkwioną w poduszce. Minęło kilka minut, nim odwróciła głowę.

– Tootsie. – westchnęła, a potem wyciągnęła dłoń, sięgając w stronę niebieskiego pluszaka, który leżał po lewej stronie łóżka. Wyglądał na mocno wysłużonego. Nie miał jednego oka, a na brzuszku posiadał przyszytą łatę. Dahlia wzięła go i przytuliła do siebie. Przesuwała nosem po jego miękkim, klapniętym uszku. – Masz szczęście. Widzisz... Wygląda na to, że wciąż będziemy dzielić to łóżko tylko we dwoje. – Pocałowała go. – Tylko ty i ja...

Przymknęła powieki, lecz kiedy powoli zaczęła odpływać do krainy snów, odezwał się jej pager. Otworzyła oczy i szybko usiadła. Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej urządzenie.

– Toots – zwróciła się po chwili ponownie do pluszaka. – Małe sprostowanie. Tę noc spędzisz sam.

Ułożyła misia na łóżku, poprawiła mu poduszkę pod głową, a następnie przykryła go kołdrą. Nie czekając dłużej, pobiegła przebrać się w coś luźniejszego. Później wzięła kask i wyszła z mieszkania. Niedaleko, przypięty do słupka, stał jej rower – środek transportu, którym dojeżdżała do pracy. Szybko związała włosy i założyła kask. W końcu odpięła rower i wyjechała na ulicę.

Po półgodzinie dotarła na miejsce. Nie wahając się, weszła do budynku, nad którego wejściem wisiał szyld z nazwą: *Game Over*. Od razu skierowała kroki do pokoju socjalnego. Czekał tam już na nią pięćdziesięciosześcioletni mężczyzna, który właśnie przeglądał rachunki.

– Dahlia, dziękuję, że się zjawiłaś. To nagłe zlecenie. Gdybym nie musiał, to...

Dziewczyna położyła kask na niewielkim stoliku, który stał zaraz obok szafek.

– Wujku, nie musisz mi się za każdym razem tłumaczyć – odparła. Zdjęła kurtkę, schowała ją do szafki, po czym wyjęła zielony uniform. Szybko go włożyła, usiadła na krześle w kącie i zaczęła wkładać ochraniacze na buty oraz rękawiczki. – Za to mi w końcu płacisz.

Podeszła do siwiejącego na skroniach mężczyzny o bystrym bladoniebieskim spojrzeniu i licznych zmarszczkach wokół oczu.

– Tak, tak, tylko... – Przyjrzał się dziewczynie, a potem ujął jej dłoń. – Gdyby... – Nie dokończył, bo Dahlia mu przerwała:

– Znów rozmawiałeś z mamą?

Edgar Jones skinął głową nieco zakłopotany.

– Wiesz, być może ma rację. Może faktycznie powinnaś pomyśleć o zmianie zawodu. To... To nie jest praca dla młodej, zdolnej...

– Wujku. – Ścisnęła mocniej jego dłoń i spojrzała prosto w zmęczone, nieco już podkrążone oczy. – Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Robię to, bo... Bo czuję, że tak trzeba. Poza tym to firma, którą założyłeś razem z tatą. Wiem, że mamy nic nie uciechyłoby bardziej, niż gdybyśmy zamknęli działalność, ale... Ona po prostu tego nie rozumie. Nie tak jak my.

Edgarowi spadł kamień z serca. Słowa bratanicy widocznie go uspokoiły i ukończyły wyrzuty sumienia. Dahlia, widząc, że wujek doszedł do siebie, od razu przeszła do rzeczy:

– Więc co to za nagłe zlecenie?

– Mężczyzna, trzydzieści sześć lat. Umarł w domu parę godzin temu, nagłe zatrzymanie akcji serca. Rodzina chce, żeby go ostrzyć, ogolić i, jak zawsze, żeby nie był taki blady.

– Ciało jest w chłodni?

– Tak, na stole. Wszystko już przygotowałem. Zbiorniki na płyny są na miejscu, również te do balsamacji. Tak jak zawsze.

Jones skinęła głową.

– No to pozostaje mi się wziąć do pracy. – Naciągnęła jeszcze raz mocniej rękawice i zabrała maskę. – A ty, wujku, lepiej wracaj do domu i porządnie się wyśpij.

– Poradzisz sobie sama? Jeśli chcesz, to...

– Nie musisz się martwić. Wszystkim się zajmę. – Wzięła ze stolika teczkę z dokumentami dotyczącymi dzisiejszego zlecenia, po czym skierowała się do drzwi. – Dobranoc.

Ruszyła przed siebie wąskim korytarzem. Zerknęła do teczki, aby jeszcze raz przebiec wzrokiem po tekście, a potem spojrzała na dołączoną do niej fotografię.

Mężczyzna na zdjęciu nie był zbyt przystojny i wydawał się raczej wychudzony. Długie, czarne włosy opadały na jego czoło oraz ramiona. Zapadnięte policzki podkreślały tylko zarys kości policzkowych, natomiast wąskie, blade usta pozostawały mocno zaciśnięte. Niechlujnie wyglądający zarost w żaden sposób nie dodawał mu męskości, raczej przywodził na myśl bezdomnego. Gdyby nie elegancki garnitur, na pewno można by było go za takiego uznać.

Nagle rozległ się grzmot. Dahlia przystanęła i spojrzała w stronę okna. Wkrótce o szyby zaczęły uderzać duże krople deszczu. Westchnęła, mając nadzieję, że w ciągu dwóch godzin, gdyż na tyle mniej więcej szacowała swoją pracę, niebo się jednak rozprognie. Nie chciała wracać do domu w strugach deszczu.

Ponownie zerknęła na zdjęcie, a po chwili podniosła je nieco wyżej.

– Zielone – mruknęła. – Piękne.

Dahlia założyła maskę i otworzyła stalowe drzwi do kostnicy. W pomieszczeniu pachniało specyficznie. Dwa metalowe łóżka do przewożenia ciał stały obok siebie po prawej stronie, a na środku, na stole leżały nagie zwłoki mężczyzny, którego miejsca intymne zasłonięto białą tkaniną. Oprócz stojących obok pojemników na płyny, na półce przy przeciwległej ścianie znajdowało się sześć litrowych butelek, każda z płynem o nieco innym, ciepłym odcieniu, oraz lanolina. Odłożyła dokumenty na długi stolik umieszczony pod ścianą.

Nucąc, sięgnęła po aparat fotograficzny. Jak zawsze miała zamiar zrobić zdjęcia przed i po zabiegu balsamacji, gdyby z jakichś powodów rodzina była niezadowolona lub zwyczajnie nie rozpoznała mężczyzny. Takie sytuacje wbrew pozorom również się zdarzały. W ten sposób nie tylko dokumentowała swoją pracę, ale także zabezpieczała się na przyszłość.

Zrobiła zaledwie dwa kroki, kiedy na zewnątrz znów rozległ się grzmot. Tym razem piorun musiał uderzyć gdzieś niedaleko. Światło zamigotało, po czym lampy zgasły. Zapadła ciemność.

– Cholera – przeklęła, a potem po omacku ruszyła w stronę drzwi. Zrobiła zaledwie trzy kroki, gdy światło znów zamigotało, a zasilanie wróciło. – Uff... – Odetchnęła z ulgą.

Chcąc wrócić do pracy, odwróciła się na pięcie i zamarła.

Aparat fotograficzny wysunął się z jej rąk i upadł na podłogę, ale w tej chwili był ostatnią rzeczą, którą się przejmowała.

Z szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w postać siedzącą na metalowym stole. Zamrugła kilkukrotnie, by się przekonać, czy przypadkiem nie ma zwidów, ale wtedy trup powoli, jakby w zwolnionym tempie, odwrócił głowę w jej stronę i przeszył ją spojrzeniem intensywnie zielonych oczu, które wcale nie były zmętniałe, jak u zwykłego nieboszczyka.

Dahlia rozchyliła usta, a spomiędzy nich wydobył się potok przekleństw:

– Kurwa mać! Zombie! No, kurwa, zombie!!!

ROZDZIAŁ 2

Siedem miesięcy później...

Zajęcia z fizyki teoretycznej miały się właśnie zacząć. Grupa studentów zajęła już miejsca w sali wykładowej i czekając na prowadzącego, wykorzystywała ten krótki czas na rozmowę.

Wysoki, szczupły chłopak wychylił się nieco do przodu i, opierając przedramiona na pulpicie, spojrzał na koleżanki siedzące w rzędzie przed nim.

– To co, zakład, że tym razem spóźni się więcej niż pięć minut?

Blondynka o ładnych oczach odwróciła się w jego kierunku.

– Minimum dziesięć.

– A ja wam mówię, że w ogóle się nie zjawi – odezwała się kolejna studentka. – Tak jak tydzień temu. Pewnie znowu pomylił dni tygodnia.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem.

– Cały Zombie. – Blondynka na moment sięgnęła po telefon, bo właśnie otrzymała wiadomość tekstową, co na chwilę wyłączyło ją z dyskusji.

– No właśnie. – Jej towarzyszką zerknęła na chłopaka. – Czemu ma takie przezwisko? Zombie?

– Jak to, to ty nie wiesz? – Chłopak, wyraźnie zaskoczony, wpatrywał się w dziewczynę w taki sposób, że zrobiło jej się nieco głupio.

– No w sumie to wydaje się trochę oderwany od rzeczywistości i dziwny, ale żeby od razu Zombie?

– Naprawdę nie słyszałaś o tym, co się wydarzyło ponad pół roku temu?

– Studentka pokręciła przecząco głową. Chłopak nie mógł więc przepuścić takiej okazji, by opowiedzieć tę słynną historię.

– Profesor Vyes wykitował w domu.

– Co?

– No, dokładnie. Zawał czy... mniejsza o to, podobno serducho mu stanęło. I gdy wydawało się, że już po facecie, kilka godzin później obudził się w kostnicy. Jak gdyby nigdy nic.

– Bez jaj! Wkręcasz mnie.

– Nie, mówię serio. – Położył dłoń na szerokiej piersi. – No, jak matkę kocham. Tak było. Był martwy i nagle ożył. Współczuję tej babce, przy której się obudził. Pewnie o mało sama nie zeszła tam na zawał, gdy umrzyk, którym miała się zająć, nagle wstał.

– Kobieta?

– No, jakaś pracownica domu pogrzebowego. Pisali o tym w gazecie, ale nie podali jej personaliów. W końcu to ona zadzwoniła po lekarza. Ten przyjechał, zbadał naszego profesorka i okazało się, że jest zdrow jak ryba. Jeszcze tego samego dnia wrócił do domu.

– Ale przecież to niemożliwe.

– Syndrom Łazarza, tak to się chyba nazywa. Podobno zdarza się to na całym świecie, ale nikt nie wie dlaczego. W każdym razie przezwisko „Zombie” po tym wszystkim przyłgnęło do niego na dobre.

Wkrótce z końca drugiego rzędu ktoś krzyknął w ich kierunku:

– Cicho! Zombie idzie!

Dziewczyny momentalnie się wyprostowały, a chłopak oparł się wygodnie o siedzenie. Wszyscy z pewnym zniecierpliwieniem wpatrywali się w drzwi, które wkrótce się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna w średnim wieku ze skórzanym neserem w ręku. Szedł szybko. Czarne włosy miał związane niedbale na karku, a lekki zarost sugerował, że nie zdążył się ogolić. Ciemne obwódki pod oczami były śladem po kolejnej nieprzespanej nocy. Podeszedł do biurka, położył na nim torbę, a następnie zdjął czarny płaszcz. Biała koszula była rozpięta pod szyją i niedbale włożona do spodni.

Profesor Mortimer Vyes przez chwilę mocował się z otwarciem neseseru, a gdy to już zrobił, wyjął z niego plik papierów i zaczął je przeglądać. W końcu jednak, zirytowany, odłożył je i podszedł do białej tablicy.

– Dziś zajmimy się Modelem Standardowym materii. Częstki fundamentalne obejmują sześć leptonów i sześć kwarków wraz z ich antycząstkami. Kwantową teorię pola elektromagnetycznego oraz słabego możemy połączyć w oddziaływanie elektroślabe, model oddziaływania silnego i elektroślabeego z kolei możemy połączyć w Model Standardowy. – Zaczął rysować dwie tabele. Jedną zatytułował: *Podstawowe cząstki elementarne w fizyce cząstek elementarnych*, a drugą: *Kwarki w Modelu Standardowym*. Kiedy skończył, odwrócił się do studentów, i mówił dalej: – Jeśli traktować, że jedynka to jest dziesięć do potęgi minus osiemnastej masy, to elektron ma wielkość mniejszą od jedynki. Kwark o rozmiarach dziesięć do potęgi minus osiemnastej masy ma rząd równy jedynce, proton ma wielkość równą tysiąc... – uciął, gdy dostrzegł na twarzach słuchaczy dziwne uśmieszki.

Wkrótce jakaś dziewczyna siedząca w pierwszym rzędzie, której imienia ani nazwiska nie pamiętał, uniosła rękę.

– Słucham.

– Panie profesorze, ten temat przerabialiśmy już na ostatnich zajęciach.

– Tak? – Zmieszał się na moment i znów podszedł do biurka. Szperał w papierach, które teraz rozsiane były po całym blacie, kilka kartek spadło nawet na podłogę.

Tym razem szum wśród studentów przybrał na sile, ale mimo rozbawienia każdy z nich pilnował się, by nie wybuchnąć śmiechem. Po sali przeszedł szmer, a cała grupa wymieniała znaczące spojrzenia, obserwując, jak coraz bardziej zirytowany profesor Vyes próbuje się odnaleźć w tej sytuacji. Nagle jego wzrok zatrzymał się na kartce, której szukał.

– A... Tak. Rzeczywiście – mruknął, a później podszedł do tablicy i zmasał szybko tabele. Sięgnął po mazak i kolejny raz zaczął coś pisać, cicho mrucząc.

Był tak zaabsorbowany własną pracą, że nie zauważył, jak za nim jeden ze studentów nachyla się w stronę koleżanek i szepcze:
– Zombie chyba wciąż nie do końca wrócił do świata żywych.
Dziewczyny zachichotały na tę uwagę.

Po skończonych zajęciach Mortimer opuścił uniwersytet i skierował się na parking. Już z pewnej odległości mógł dostrzec przystojnego mężczyznę opartego o terenówkę, który właśnie puszczał oczko do mijającej go grupy studentek. Dziewczyny uśmiechnęły się do niego, a potem podekscytowane zaczęły szeptać między sobą.

Na moment zwolnił i westchnął głęboko, ale wkrótce ruszył dalej marszowym krokiem.

– Mort! – Mężczyzna zauważył go i pomachał w jego kierunku. Wyszczерzył idealnie równe zęby, których biel była mocno podkreślona przez opaleniznę. Jego włosy, nieco spłowiałe od słońca gdzieś na drugim końcu świata, miały gdzieś tam odcień złota.

Leo miał sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Był proporcjonalnie zbudowany, a jego umięśnione ciało i pewność siebie, jaką emanował, zwracały uwagę każdej kobiety w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Bracia Vyes stanowili przeciwieństwa jak ogień i woda. Różnili się praktycznie w każdym aspekcie, począwszy od wyglądu, na charakterze i zainteresowaniach skończywszy. Leo był młodszy od Mortimera o osiem lat, ale mimo tak dużej różnicy wieku nie miał problemu ze znalezieniem wspólnego języka z dość gburoватым bratem. Jego optymistyczne podejście do życia i energia, którą wręcz zarażał innych ludzi, sprawiały, że był wyjątkowo lubiany, a zawieranie nowych znajomości przychodziło mu niezwykle łatwo. Miał przyjaciół w każdym zakątku świata.

– Stary. – Leo zwrócił się do brata, gdy ten podszedł bliżej. – A tobie co znowu? Wyglądasz jak dziecko, któremu ktoś właśnie zabrał lizaka – zaśmiał się.

Mortimer skwitował tę uwagę, marszcząc brwi.

– Mówiłem ci, żebyś tu nie przyjeżdżał – odburknął, otwierając drzwi do samochodu. – Potrafię wrócić do domu sam.

Nie czekając na odpowiedź, wsiadł do SUV-a. Dostrzegł, jak Leo klepnął maskę, a potem lekkim sprężystym krokiem okrążył Land Rovera i po drodze posławszy jeszcze jeden uśmiech ładnej blondynce, która właśnie przechodziła obok, zajął miejsce kierowcy. Wkrótce ruszyli.

– Kiedy wyjeżdżasz do Nepalu? – zapytał Mortimer, niecierpliwie bębniąc dłonią o neseser, który trzymał na kolanach.

– Tak bardzo chcesz się pozbyć braciszka z domu? – Leo zerknął w jego kierunku, a uśmiech nie schodził mu z twarzy. – Jest mi niewypowiedzianie smutno z tego powodu.

– To kiedy wyjeżdżasz? – powtórzył.

– Jak zawsze oziębły – mruknął do siebie, a potem włączył kierunkowskaz i skręcił w lewo. – Myślę, że za cztery, może pięć tygodni – odpowiedział w końcu na pytanie. – Tyle jeszcze będziesz musiał ze mną wytrzymać. Mama prosiła, bym miał cię na oku do końca kwietnia. Sama zamierza cię wtedy odwiedzić.

Mortimer odwrócił się gwałtownie i zacisnął zęby.

– Co?

– Nie mówiła ci? – Leo odchrząknął i skupił się na drodze, byle tylko nie patrzeć na brata. – Zmiana warty...

– Nie jestem już dzieckiem – stwierdził wyraźnie zirytowany.

– Nie potrzebuję niańki. Sam potrafię o siebie zadbać.

– Może... A może nie. Znów zarwałeś dzisiejszą noc przez te swoje obliczenia. Wiesz, że nie powinieneś się przemęczać. – Jego ton spoważniał. – Wciąż... – Urwał, zaciskając mocniej dłonie na kierownicy. – Nie masz pojęcia, jakiego pietra nam wszystkim napędziłeś. Uff... W każdym razie nigdy więcej takich żartów. A szczególnie tych z udawaniem trupa. Owszem, był dobry, ale jak zwykle za poważnie do niego podszedłeś.

Mortimer odwrócił głowę w stronę okna.

– Mówiłem jej ostatnio, że czuję się świetnie i że wszystko jest ze mną w porządku. Ty pewnie też składasz jej raporty – dodał z lekkim wyrzutem w głosie.

– Ja? – Leo udał zdziwionego, a potem, szczerząc zęby, odparł: – Codziennie. O szóstej wieczorem. Pyta dosłownie o wszystko. Interesuje ją, co jesz na śniadanie, czy odpoczywasz i stawiasz się na wizyty kontrolne. Jednak wczoraj byłem zmuszony okłamać naszą cudowną mamę. Gdyby się dowiedziała, że zarywasz noce, żeby prowadzić te swoje badania, to wsiadłaby do pierwszego samolotu i przyleciała tutaj z Edynburga.

– Dzięki – odpowiedział Mortimer po krótkiej chwili, akurat, gdy dojeżdżali do domu.

Był on położony za Southgate Grove, niecałe trzy mile od Uniwersytetu Queen Mary. Miał dwie sypialnie, na dole patio i otwartą kuchnię, a z tyłu ogród. Z zewnątrz nie wyróżniał się szczególnie na tle innych sąsiednich budynków.

Leo zaparkował samochód i ruszył za Mortimerem, który zdążył już odejść spory kawałek. Zawsze szybko chodził. Zatrzymał się przed drzwiami i, myszkując po wszystkich kieszeniach, próbował znaleźć klucz. Udało mu się to w momencie, gdy brat zjawił się obok. Weszli do środka. Profesor od razu zrzucił płaszcz, który odłożył niedbale na stojący w przejściu mebel, i ruszył w stronę otwartej kuchni połączonej z salonem, który przypominał raczej gabinet.

Na niewielkim stoliku wałały się papiery oraz książki. Kanapa była zagracona w niemal identyczny sposób. Przed telewizorem, obok przeszkłonego wejścia na patio, stała biała tablica na kółkach, na której zapisano równania i obliczenia, jakich przeciętny człowiek nie byłby w stanie zrozumieć, a co dopiero rozszyfrować. Mortimer od razu sięgnął po mazak, stanął przed nią, i mruczając pod nosem tylko sobie znajome zaklęcia, zaczął pisać.

Leo pokręcił lekko głową, wyjął z lodówki karton mleka i wspiał się na kuchenną wyspę. Machając w powietrzu nogami, upijał kolejne łyki. Nie spuszczał jednak wzroku z brata, który

uniósł nagle dłoń, wsunął ją we włosy, po czym zaczął się drapać, intensywnie nad czymś myśląc.

Po raz kolejny stwierdził, że nie rozumie geniuszy, a jego brat niewątpliwie należał do tego odrębnego gatunku. W wieku zaledwie szesnastu lat dostał się na Uniwersytet Oksfordzki, gdzie studiował fizykę, a potem obronił doktorat. Później pracował jako pracownik naukowy na uniwersytecie w Cambridge, a następnie, już jako profesor, w Departamencie Fizyki i Astronomii na uniwersytecie Queen Mary. Jego praca koncentrowała się na idei fundamentalnej fizyki teoretycznej, ale obecnie całkowicie pochłaniały go badania związane z czarnymi dziurami i grawitacją kwantową.

W porównaniu z nim człowiek, który rzucił studia prawnicze i zaczął podróżować po świecie, początkowo utrzymując się tylko dzięki wsparciu rodziców, nie dorastał mu do pięt. Leo nie mógł jednak powiedzieć, że mu się w życiu nie powiodło. Miał na tyle dużo szczęścia, że jego blog, który prowadził z wypraw, stał się w krótkim czasie popularny, a on sam zaczął pisać najpierw niedługie artykuły, a później felietony na temat swoich podróży, różnic kulturowych i doświadczeń w egzotycznych krajach. Stworzył również kanał na YouTube, z którego zyski w pełni pokrywały koszty kolejnych wypraw.

– Nie... To nie tak. Błąd. Gdzie robię błąd?! – Leo spojrzał na brata, który wściekły rzucił markerem o podłogę, a potem odwrócił się na pięcie i podeszedł do stołu. Zaczął chaotycznie przeglądać książki i leżące na nim notatki.

– To co, może coś zjemy? – zapytał, nie reagując na ten wybuch gniewu, i zeskoczył z wyspy kuchennej. Następnie wycelował w stojący niedaleko kosz na śmieci i, udając koszykarza, wrzucił do niego puste opakowanie. – Tak! – Zaciśnął mocno dłoń w pięść. – Za trzy!

Odwrócił się, gdy nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Widząc, że Mortimer wcale nie zwraca na niego uwagi, pogrążony we własnym świecie, znowu podeszedł do lodówki. Po krótkiej chwili po kiwał głową i wyciągnął telefon z kieszeni dżinsów. Przeszedł do

salonu, zrobił sobie miejsce na kanapie, spychając kilka książek na podłogę, i usiadł.

– To co, dziś chińskie żarcie czy pizza? Hm... Pizza. Tak. – Spojrzał na brata. Ten nadal był całkowicie skupiony na książce, która akurat wpadła mu w ręce. – Mort? Pamiętasz może numer do tej pizzerii, w której robią ekstra cienkie ciasto?

Patrzył, jak mężczyzna się prostuje, i nawet na niego nie zerkając, podchodzi do tablicy.

– Dwa, zero, siedem, osiem, dwa, jeden, osiem, dwa, dwa, dwa – wyrecytował szybko, podnosząc z podłogi marker. Włożył za-tyczkę do ust i zaczął kreślić jakiś wzór. – Tylko zadzwoń za osiem minut – dokończył niewyraźnie.

– Osiem? Dlaczego?

– Wtedy zaczyna się druga zmiana. Kierowca, który ją zaczyna, dowozi jedzenie dużo szybciej niż ten z pierwszej. Ostatnio narzekałeś, że pizza przyjechała zimna.

– Nie ma nic gorszego niż zimna pizza. Zawsze to powtarzam. – Przechylił nieco głowę i zaczął wpatrywać się w plecy brata. – Niedobrze. Dochodzi czwarta, będą korki. Może jednak zamówimy coś...

– Ominie je, jeśli pojedzie przez Downham Road zamiast Baring Street.

– A skąd wiesz, że akurat taką trasę wybierze?

Mortimer odwrócił się przez ramię i spojrzał na brata z pobłażliwością, z jaką starsi bracia patrzą na młodszych, gdy muszą im tłumaczyć oczywiste rzeczy.

– Bo na skrzyżowaniu Baring z New North Street są roboty drogowe.

– Co? Od kiedy?

– Od dziś – odpowiedział i wrócił wzrokiem do tablicy. – Większość kierowców wracających z pracy zapewne jest teraz tak samo zaskoczona, jak ty. Zresztą, gdy wracaliśmy, przy drodze stał znak informacyjny.

– Tak? Gdzie? Jakoś niczego nie widziałem.

Mortimer westchnął głęboko i przestał już słuchać dywagacji brata na temat jakości dróg w Londynie. Skupił się całkowicie na problemie, nad którym głowił się od kilku dni.

Zaledwie po czterdziestu pięciu minutach dostawca z gorącą pizzą zapukał do ich drzwi. Leo uciął sobie krótką rozmowę z mężczyzną, głównie dlatego, że chciał się przekonać, czy Mort miał rację. I rzeczywiście ją miał. Jak zawsze zresztą.

Nieco niepokieszony postawił pizzę na wyspie kuchennej i od razu pochłonął jeden kawałek.

– A co, gdyby... powiedzmy, ktoś z Culford Road również złożył zamówienie? – zapytał, podchodząc do Mortimera, który od prawie godziny wciąż sterczał przed tablicą. – Uwzględniłeś tę zmienną wypadkową w swoich obliczeniach? – Ugryzł kolejny kęs, wpatrując się w tablicę zapisaną już po same brzegi różnymi algorytmami i równaniami.

– Mało prawdopodobne. W poniedziałki liczba wpływających zamówień między piętnastą a szesnastą jest najniższa – odparł i dopisał ostatnią cyfrę. W końcu, zadowolony, cofnął się o krok. – No nareszcie. Teraz to ma sens – mruknął, zasłaniając dłonią usta i jeszcze raz dokładnie sprawdzając swoje obliczenia. Potem jego wzrok skupił się na kawałku pizzy, który Leo właśnie wkładał do ust. – Poza tym do Culford Road nie dowożą już za darmo. Dostawa byłaby dodatkowo płatna, a to skutecznie zniechęcający czynnik, zważywszy na to, że w tamtej okolicy znajduje się inna świetna pizzeria.

Leo rozważał kolejny argument, by wytknąć bratu lukę w rozumowaniu. W tym samym momencie Mortimer poczuł dotkliwy ucisk w żołądku. Głód podczas ostatnich kilku godzin był spychany na drugi plan. Vyes bez zastanowienia skierował swoje kroki w stronę kuchni i w zaledwie pięć minut pochłonął trzy kawałki pizzy. Zakrztusił się tylko raz, ale Leo był przygotowany na taką ewentualność i w porę podał mu szklanę wody. Doskonale wiedział, że brat nie lubi tracić czasu na jedzenie, ponieważ traktuje tę czynność jako wysoce uciążliwą, choć, niestety dla niego, jak i ponad siedmiu miliardów innych istnień, absolutnie konieczną.

– No to teraz do łóżeczka – odezwał się Leo żartobliwym tonem. – Obudzę cię za cztery godziny.

Mortimer wstał i wytarł dłonie w ręcznik papierowy.

– Nie musisz, sam się obudzę. Model czasoprzestrzeni pozbawionej krawędzi... – zaczął, ale Leo natychmiast mu przerwał:

– Ten model jest zapewne dla ciebie niezwykle ciekawy, ale dzisiejszej nocy nie będziesz się nim zajmował. – Uśmiechnął się dwuznacznie. – Trójwymiarowe modele, które mam zamiar dziś badać, są równie interesujące. Tak. Braciszku, chyba nie zapomniałeś, że dzisiaj wychodzimy na miasto?

Mężczyzna bez słowa wstał, chcąc odejść, ale Leo zareagował błyskawicznie i zastąpił mu drogę. Spojrzał na niego wymownie, podnosząc brew.

– Nie mam na to czasu – odparł Mortimer, próbując wyminąć młodszego brata, ale ten nie dał tak łatwo za wygraną.

– Tylko bez takich. Na coś się umawialiśmy, prawda? Jutro masz wolne, więc pracą nie musisz się przejmować.

– Nie będę tracił czasu w jakiejś durnowatej dyskotecie.

– Skąd wiesz, że jest durnowata, skoro na żadnej nigdy nie byłeś?

– Wystarczy, że słyszałem...

– Więc mam zadzwonić do mamy i powiedzieć, że zgadzasz się na tę randkę w ciemno z córką jej przyjaciółki?

Oczy Mortimera rozszerzyły się, a usta zacisnęły w wąską linię.

– Grasz nieczysto.

– Wybieraj – ponaglił go, w ogóle nie zwracając uwagi na urażony ton. – Wiesz, że mama pod tym względem tak łatwo nie odpuści. Zresztą próbuje cię swatać, odkąd skończyłeś trzydzieści lat. Ile to już randek ci załatwiła?

Mężczyzna spochmurniał, przypominając sobie te schadzki, z których żadna tak naprawdę nie zakończyła się propozycją ponownego spotkania. Ani z jego strony, ani ze strony towarzyszących mu kobiet.

– Jeszcze nie odpuściła? – zapytał, ponownie wsuwając dłoń we włosy i lekko się drapiąc.

– Ani na chwilę. Gdy ostatnio ją odwiedziłem, miała już przygotowaną całą listę potencjalnych partnerek. Pytanie tylko, czy wolisz pediatrię o krótkich włosach i zgrabnych nogach, lecz z nieco za dużym nosem, czy też nauczycielkę francuskiego o bujnych, czarnych lokach, ale z lekką nadwagą.

Leo, patrząc na brata, cudem powstrzymywał się przed wybuchem śmiechu.

– Tyle razy jej mówiłem, że się nie ożenię. Żeby dała sobie wreszcie spokój.

– To jak, idziesz ze mną, czy mam dzwonić do mamy i jeszcze przy okazji powiedzieć jej, że zamiast sałatki z awokado i pieczonym kurczakiem jedliśmy dziś niezdrową pizzę?

Intensywnie szmaragdowe spojrzenie spoczęło na roześmianej twarzy brata, który nic sobie nie robił z ciskanych w jego stronę piorunów.